**Ner. 2.** **Kraków 6 października 1866.** **Rok I.**



**Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.**

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

**Mody i kroje** *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. **Nuty** rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

*W Krakowie* prenumerować można w biórze redakcyi: ulica żydowska, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

*We Lwowie* można prenumerować i odbierać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiém.

**Inseraty** (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

# Patryjarchalność polska

przez

X. Wojciecha z Medyki.

I.

Jak miłe nam wspomnienia świętego i niewinnego dzieciństwa w domu rodzicielskim, tak miłe nam obrazy spółecznego pożycia naszego narodu na pierwociu. Gdzie słonko miłości świeci i grzeje, tam wszystko radośnie i szczęśliwie żyje i rośnie! W dzieciństwie kochani od matki i ojca i od wszystkich, upojeni samą miłością, nosimy też te błogie wpływy najgłębiéj wryte w pamięci, i w późniejszych latach zwracamy się ciągle ku tym miejscom, gdzie była izba naszych zabawek, gdzie był dziedziniec, ogrodek albo morawa przeznaczona do naszego biegania po świeżém powietrzu.

Coś podobnego powtarza się w życiu narodu — pieśniami poetów naród tęskni do dawnych wspomnień, do dawny cnót. Przebiegnijmy cały szereg poetów od Reja począwszy — wszędzie i zawsze słychać tę strunę. Jakiż cel takiego ciągłego oglądania się za siebie? Zaiste czas byłby stracony, gdyby szło tylko o dogodzenie potrzebie serca, smętnemu uczuciu. Kto idąc ogląda się, opóźnia się w drodze; ale jest inny cel i powód. Oto naród mówiąc przez usta poetów o swéj przeszłości, przypomina sobie to, na czém się uchował i urósł, wśród zamętu politycznego i moralnego są dla niego te kardynalne podstawy tém, czém dla człowieka wspomnienia dzieciństwa. W chwilach zepsucia i upadku najsilniéj zawsze jęczą harfy poetów tą elegijną nutą wspomnień dawnych cnót — patryjarchalnego wieku naszego. Piastowska epoka była rzeczywiście patryjarchalną. Na tę patryjarchalność złożyła się biblia i duch słowiański, wiejący jeszcze dość silnie. Historyja zapisała nam z owych czasów burzliwe wojny książąt i królów, i fundacyje biskupstw i kościołów — a o tém życiu patryjarchalném bardzo mało szczegółów — przechowały się one więcéj w tradycyi (którą pochwycili potém poeci), więcéj się ich domyślamy przez analogią, raczéj przeczuciem odczytujemy ułamkowe wiadomości kronikarzy. W cieniu tego patryjarchalnego życia krzewiły się cnoty rodzinne i narodowe. Pomimo przemian jakie od tego czasu naród nasz przebył, te cnoty nie znikły z pośród nas, przytarły się tylko, wybladły, zmalały; ale tkwią w naszéj krwi. Nie jest to czczy panegiryk patryjotyczny, com powiedział. Przejedźmy się tylko za granicę, poznajmy tamtych ludzi i porównajmy potém ich zimny rozum, ich rachunkowość w stosunkach familijnych i sercowych — z uczuciowością, serdecznością i gościnnością polską — a uwydatni się nam cała różnica i z chlubą mówię, cała wyższość nasza. Kto zachował świeżość i że tak powiem, dziewiczość serca — ten ma dużą jeszcze przyszłość przed sobą. Wieszczowie nasi przysięgli nam na natchnienie swoje, że my mamy taką przyszłość, a zarobiliśmy na nią cnotami oddziedziczonemi z przeszłości i mękę życia porozbiorowego, to nas uszlachetniło.

Dla tego idąc z innemi narodami po drodze postępu, nie idźmy owczym pędem, bierzmy to co się układa

do harmonii z usposobieniem narodowém, z pierwiastkiem rodzimym, z tém co nam w testamencie patryjarchalne czasy nasze przekazały. Nie zatracajmy tego w sobie co nas stawia wyżéj po nad inne narody. Szczególniéj niewiasty nasze powinny pamiętać o tém, ich serca powinny być skarbcem cnót narodowych, któremi mają obdzielać i mężów i dzieci, powinny jak słusznie, trafnie program niniejszego pisemka powiedział: uczoność i wykształcenie swoje zużytkować na korzyść i szczęście rodziny. (Ciąg d. nast.)

## PRZEZNACZENIE.

Są w życiu chwile napiętnowane,
Są fatalizmu epoki,
W których pociechy nam obiecane
Jak mgły pierzchają w obłoki;
Nie ciesz się serce, choć promień w górze
Różowo przestwór maluje,
Nie ciesz się próżno, już pędzą burze,
Czarna je chmura zwiastuje.
Ani wiesz zkąd się odezwą gromy,
Gdzie wichrów skrzydło cię zwieje,
Wtrącając w przepaść jak zdziebło słomy
Ciebie i twoje nadzieje.
Wtenczas człowieku nie podnoś czoła,
Ugnij kolano do ziemi,
Bo głos silniejszy od burzy, woła:
„Zgódź się z wyroki Boskiemi!“

*A. Pruszakowa.*

## ŻONY NIEWOLNIKÓW.

I.

### *Niespodziewani.*

(Cią dalszy.)

— Nazwaliśmy je twojém imieniem – rzekła Tereska.

Jan podziękował jéj wzrokiem.

— Gdzież Marcin?

— Bóg go wie — odrzekła skarżąc się.

Brat spojrzał na nią pytająco, z zadziwieniem.

— Jakto, czy może źle żyjecie ze sobą?

— Uchowaj Boże, Marcin dobry dla mnie jak zawsze, ale...

— Ale cóż?

— Od jakiegoś czasu zaniedbał się w robocie, chodzi Bóg wie gdzie, czasem bywa, że go pare dni niema.

— Może pije?

— Nie. —

— I nigdy ci nie powiedział, gdzie chodzi?

— Mówił, że za robotą, ale ja temu nie wierzę, bo mówiąc to, nie patrzał mi w oczy. A kiedy widział, że zaczęłam lamentować, przyszedł do mnie, pogłaskał mnie po głowie i powiedział wtedy: nie trap się Teresko, będzie nam wszystkim kiedyś lepiéj. Nierozumiałam, a on więcéj powiedzieć nie chciał. Mnie strach o niego...

— Czy się domyślasz czego?

— Słuchaj! — rzekła tajemniczo, i przysunąwszy się do niego, poczęła mówić stłumionym głosem.

— Od niejakiego czasu pokazują się koło boru jacyś ludzie nieznajomi — we wsi mówią, że to rabusie, że będą palić wsie.

— Gadaniny, przewidzenia.

— Nieśmiéj się — sama ich widziałam na własne oczy. Kilka dni temu wracałam z jarmarku już późno wieczór: — za wsią koło stawów zobaczyłam w sitowiach kilku tych ludzi. Gdy mnie zobaczyli, cofnęli się chyłkiem ku lasowi. To jeszcze nic: ale zbliżając się do wsi, zobaczyłam Marcina — zmięszał się, zetknąwszy się ze mną, powiedział, że wróci zaraz i kazał mi iść do domu. Ale mnie coś nie dało odejść, przystanęłam za drzewem i patrzałam za nim. On idąc, oglądał się często, potém zsunął się między zarośle i poszedł także ku lasowi. Na drugi dzień gadano po wsi, że z tamtéj strony lasu jacyś ludzie w nocy napadli na dom leśniczego i jego samego powiesili. I cóż ty bracie na to? —

Jan nie wiedział, jak sobie to wszystko tłumaczyć, jak uspokoić siostrę. Przed chatą zaturkotał wózek.

— Odchodzisz już? — spytała Tereska brata, a w zapytaniu jéj drżała ukryta miłość siostrzana.

— Jadę do dworu. —

— Tam dziś uroczystość. —

— Wiem, imieniny opiekuna. —

— I wesele jego córki.

Jan zdrętwiał, zbezwładniał z przerażenia — słowa siostry jak piorun uderzyły w jego nadzieje i strzaskały je.

Machinalnie jak lunatyk wyszedł do wołającego i siadł na wózek. Gdy konie ruszyły, on jakby przebudzony chwycił za rękę towarzysza i rzekł zmienionym głosem:

— Wróćmy!

— Czemu?

— Tam wesele.

Syberyjczyk pokiwał smutnie głową:

— Więc i tobie przeznaczenie taką niespodziankę przygotowało. Podaj mi rękę mój przyjacielu — lata nas różnią, nieszczęście nas łączy. Pojedziemy tam, spojrzysz w twarz twemu losowi — to cię zahartuje. Wiesz, dobrze, że nie dla gołębich gruchań jechaliśmy w te strony, dla wielkich celów trzeba wiele ponieść na ofiarę, ponieś ty boleść twoją, ucisz namiętne drgania serca i chodź naprzód — jedźmy.

Wjechali w dziedziniec — uprzedźmy ich w sali.

Mnóstwo było gości z okolicy, weselne gody odbywały się cicho, poważnie — ale wystawnie. Wśród gości nie trudno odszukać pannę młodą: poznać ją po tym blasku, jakim promienieje w dzień wesela twarz oblubienicy, poznać po wianku myrtowym i długiéj gazowéj zasłonie. Siedzi niedaleko okna, zapatrzona w ziemię, płonie słuchając pierwszych słów męża, i skubie kwiaty oleandrów nie rumieńsze od niéj.

Nagle łoskot się zrobił u drzwi, jakiś czarny, duży pies przewrócił lokaja z tacą, wpadł między przestraszone panie i czegoś szukał. Znalazł pod oleandrem i rzucił się ku pannie młodéj skomląc z radości i szalejąc prawie.

— Mera — szepnęła Anna i drgnęła lekko — pies przypomniał jéj coś może z przeszłości. Ona chowała się razem z Janem — lubili się bardzo, Jan był dla niéj tak dobry zawsze, ale o miłości nigdy nie mówił. Potém musiał uciekać za granicę. — Annie z początku było bardzo smutno, potém mniéj i pocieszała się mówiąc sobie: „nie wróci“, albo „kto wie czy mnie kocha“ — i poszła za mąż — nie była stworzoną na heroinę smutnych romansów. Tak samo zrobiłaby każda— tém się tłumaczyła przed sobą. A jednak w téj chwili ten pies zbudził w niéj jakieś niespokojne drżenie, zmusił ją, że pobladła i trwożnie spojrzała ku drzwiom.

Wszedł ojciec jéj prowadząc do sali Jana i kogoś drugiego, odrażająco brzydkiego: oczy czarne miał w głąb pod czaszkę wsunięte i szydercze, na oszpeconéj i pokrzywionéj twarzy był rzadki zarost. Annie się zdało, że Jan prowadzi ze sobą szatana, by się mścił.

— Proszę panów — mówił gospodarz — poznam was z rodzicami mego zięcia — i prowadził ich do stołu i chciał przedstawiać. Ojciec pana młodego był zagadany z kimś mocno, trącony przez gospodarza, odwrócił się, spojrzał na syberyjczyka i obydwaj ci ludzie skrzyżowawszy spojrzenia, odskoczyli od siebie nagle, jak armaty po wystrale.

W sali zrobiło się wielkie zamieszanie.

— Co to jest? — zawołał zdziwiony gospodarz.

Syberyjczyk twarz miał jak jedną krwawą ranę, oczy rzucały płomienie, chwycił za rękę Jana i ścisnąwszy ją silnie w swych dłoniach, rzekł ochrypłym głosem:

— Patrz! to ten łotr, którego niegdyś nazywałem bratem moim. (Ciąg d. nast.)

---

## STANISŁAW MONIUSZKO
### w świecie muzycznym.

przez *St. Danieckiego*.

W chwili, gdy przelotna muzyka Offenbacha wyuzdaną swoją lekkością zajęła tak żywo całą prawie Europę, jak niegdyś równéj wartości utwory Pawła de Kock i młodszego Dumasa, opór stawiony przeciw modzie staje się podwójną zasługą kompozytorów. W istocie wpływ Offenbacha okazał się pomimo pewnéj dobréj strony, którą zaraz oznaczę, wielce szkodliwym dla muzyki dramatycznéj — i wywołał rozlicznych naśladowców, którzy niemając talentu kompozytora „Orfeusza“ — osiągnęli równe prawie powodzenia wyuzdaniem, umysłowością i zdeptaniem prawdziwych pojęć w muzyce. Nie konieczność nauki, a nawet talentu, skusiła wielu muzyków — którzyby zresztą z problematyczną swą wiedzą nie śmieli byli wystąpić w szranki — do klejenia rozlicznych lekkich operetek — bez wartości i siły żywotnéj. Powiedziałem, że muzyka Offenbacha ma jednak dobrą stronę. Oddawna już daje się czuć potrzeba w sztuce coraz bardziéj nagląca wyłamania się zpod krępujących form — lecz kiedy poezja — w utworach Szekspira, Kalderona, Byrona, Szylera, Getego, Wiktora Hugo, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego już ponickąd z nich się wyłamała, muzyka aż do bardzo niedawnego czasu — a nawet i teraz musi się stosować do reguł tak ciasnych, jak pamiętne przepisy Arystotelesa. Spopularyzowanie więc muzyki stało się konieczną potrzebą, a pod tym względem i Offenbach ma swoją zasługę.

W dawniejszych utworach muzyka jego zwinna, lekka, melodyjna, instrumentacya zręczna — wolna od uczonych frazesów nieprzystępnych dla ogółu — z szyderskim cynizmem zdawała się spoglądać na zabazgrane kontrapunktyczne partytury Niemców i zostawiła doskonałą naukę dla wielbicieli ciemnéj gmatwaniny niezrozumiałéj w muzyce. Rzeczywiście nierównéj zasługi trzej kompozytorowie największe w naszéj epoce wywarli wpływy: Hektor Berlioz, Ryszard Wagner i Offenbach.

Pierwszy obalił misterny budynek instrumentacyi podług reguł, wyrzekłszy śmiały aksiomat: „wszystko dobre w muzyce, co dobre robi wrażenie“. — Drugi potęgą swego ducha potępił lękliwość form. Trzeci idąc drogą Bokaccia i Pawła de Kock, utworzył muzykę dla ludu, muzykę gryzetek i słuchaczów prawa, uwrierów i loretek, — upoetyzował *café chantant* i weisnął muzykę ulicy do salonów arystokracyi.

Każdy z nich jednak poszedł za daleko. Berlioz zatopiony w bujnym lesie swéj instrumentacyi, zapomniał o muzyce i polepił utwory bez duszy, bez melodyi. — Drugi Wagner, zrzuciwszy słusznie krępujące więzy, starał się wpoić w muzykę swoją filozofię spekulacyjną Hegla, przez co popadł w niejasność i niezrozumiałość. — Trzeci nareszcie oszpecił cynizmem swoich utworów to, co było w nich pięknem i popularnem. Dążność jednak została. Dążność wielka, któréj Offenbach pewno nie rozumiał, ale którą jak

lwią skórą się okrył: przystępność, popularność. Prawda, która coraz bardziéj się rozszerzać musi, gdyż sztuka nie powinna być własnością pewnéj kasty, ale własnością wykształconego ogółu.

Niemając sławy tak rozgłośnéj jak tamci, niedbając o imie reformatora, ale gorąco poświęcający się idei, Stanisław Moniuszko umiał utrafić w strunę, która poruszyła serca nasze. Nie sili on się na formy szukane, klasycznym jest tylko siłą swoich pomysłów a na wskróś ludowym, bo z nim czuje, z niego czerpie, bo mimowolnie dla niego pisze. Niepotępiając zasłużonych prac Kurpińskiego, przeciwnie, oparł się o niego i umiał rozwinąć piękny kwiat rodziméj muzyki czystéj, szlachetnéj i głębokiéj, podnosząc melodyje ludowe do wysokości sztuki, zrobił to na polu muzyki, czego Mickiewicz dokonał na polu poezyi.

W szeregu swoich oper: „Halka“, „Flis“, „Hrabina“, „Verbum nobile“, „Straszny dwór“, obdarzyl nas prawdziwym skarbem muzyki ludowéj. Równie jak Weber Niemcom przekazał nam w spuściźnie drogę, którą nam pójść wypada; od wystąpienia jego dopiero uwierzono w muzykę polską. Zważywszy teraz zasługi tego męża z powodzeniem i uznaniem, jakiego doznaje, pokaże się wielka nierównowaga, wypadająca na naszą niekorzyść i potępienie. Powodzenie Moniuszki ograniczało się prawie wyłącznie na Warszawie, ścieśnionéj kleszczami cenzury. Dziś, gdy w skutek tak misternie przez rząd przygotowanego rozprzężenia poważna opera polska upada — ustępując miejsca protegowanéj przez tenże rząd operze włoskiéj i lekkim operetkom — zamknięto Moniuszce ostatnią arenę, opery jego skazano na ostracyzm. Zamiast nich, dyrektorowie teatrów skuszeni łatwością wystawienia, wcisnęli muzykę Offenbacha na nasze sceny, która téż odrazu olśniła publiczność naszą, łaknącą muzyki scenicznéj, tak dalece, że ją przełożyła nie już nad poważną muzykę, ale nad wiele utworów dramatycznych narodowych. Różnica rzeczywiście między kazaniami dramatycznemi Korzeniowskiego i innych a Offenbachem była zbyt wielka, by jéj nie ujrzała publiczność. Było to coś podobnego jakby jéj ukazano w zamian za okulary magistra i czarną tablicę — uroczy obraz „balu mabille“, „Prado“ lub „pré catélan“. Za Offenbachem mającym przecież obok rozwiązłości pewne zalety i oryginalność, wcisnęły się obrzydliwe farsy ciężkich niemieckich naśladowców Offenbacha, mających jego rozwiązłość a niemających gracyi itd. i zalewają nasze sceny. „Dziesięć cór“, „Junacy“, „Załoga okrętowa“, „Pensionarki“ robią furorę! a dyrektorowie teatrów na wszelkie przedstawienia odpowiedzą: „ha! to robi pieniądze!“

Temi śmieciami, tém błotem zepsucia zasypano, zarzucono melodyjną lutnię naszego śpiewaka. Czyż samo uczucie wstydu i dumy narodowéj nie powinno nas skłonić do postarania się już raz o instytucyą liryczną, którąby Moniuszkę godnie przedstawić mogła? Czyż wsłuchanie się w jego melodyje rzewne i szlachetne nie będzie najlepszym środkiem — aby oczyścić smak zepsuty, kretyniczny, który nas opanował do operetek? Możemyż pozwolić, aby kompozytorom naszym obojętność narodu pisała straszne dantejskie słowa: „lasciate ogni speranza!“ — Odwołuję się w tym względzie do ludzi serca i sumienia, a ci mi z pewnością przyznają, że muzyka jest potrzebą serca. A jeżeli tak jest, to sądzę: że lepiéj otworzyć pole popisu narodowym kompozytorom niż rozwiozłym operetkom. Nie wiele potrzeba do utrzymania polskiéj opery — potrzeba tylko, byśmy zamiłowanie do niéj nie położyli na samym ostatku przyjemności naszego życia, ale przynajmniéj w tym samym szeregu upodobań, w jakim się mieszczą modne kapelusze, nowe okrywki, komety itd. — a wtedy pewny jestem powodzenia. Rzecz prawie nie do uwierzenia, że ztamtąd właśnie, zkąd powinno wyjść poparcie instytucyi lirycznéj, tj. ze strony pp. Recenzentów, wyszedł głos opozycyjny w tonie politowania i niemal pogardy. Jestto coś podobnego jakby kapłan utrzymywal, że kościół niepotrzebny. Zamiast wszelkiemi sposobami starać się wyjednać pole dla kompozytorów — ci panowie ruszają ramionami, patrzą na kompozytorów jako na rzecz, która im zawadza, z którą nie wiedzą co zrobić. Zaiste schlebia to nam, gdy rodak za granicą dobije się sławy — wołamy po śmierci: oddajcie go nam, on nasz, on nosił polskie nazwisko, miał babkę lub prababkę Polkę — ale wychodować talent, wesprzeć i pomódz, choćby słowem zachęty, na to nas nie stać. To oburza. Nie wchodzę w to, jakie pobudki skladają panów recenzentów do podobnego wystąpienia, bo możebym się domacał braku wszelkiego smaku artystycznego u ludzi piszących o sztuce, braku dobréj woli — a może i czego więcéj. Zostawmy więc lepiéj ich i ich poglądy, a zwróćmy się do publiczności, która ostatecznie decyduje w téj sprawie. Dla jéj wiadomości dodam, że sil muzycznych nam nie braknie; zważmy tylko, że takie mnóstwo naszych śpiewaków i śpiewaczek błąka się za granicą. To małe zboczenie od przedmiotu uważałem za konieczne, zanim przystąpię do szczegółowego ocenienia Stanisława Moniuszki.

(Ciąg d. nast.)

---

## KA[illegible]A.

(USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Przylądek korsykański widać już było, a panująca cisza dozwalała przypatrzeć się wygodnie krajobrazowi zwolna rozwijającemu się przed naszemi oczyma. Wyspa wznosiła się pod czystym błękitem nieba. Długi i

wielki przylądek posuwał się ku genueńskiéj odnodze, myśmy płynęli do końca przylądka. Wówczas ujrzałem widowisko, mogące zachwycić każdą wyobraźnię: Kapraja, Elba, Monte-Christo wznosiły się po prawéj stronie. Cudowny ten widok zdołał nawet jenerała oderwać od Judyty.

Jest to pewném, i wiem o tém również jak i drudzy, że to, co się widzi, nie wyrównywa temu, o czém się marzy; ale to właściwie można tylko zastósować do sztuk i dzieł ludzkich. Bóg, jako największy mistrz tworzy dzieła przekraczające granice wyobraźni człowieczéj. Takie jest moje zapatrywanie się, wprost przeciwne starym teoryjom sztuki, znajduję zawsze naturę nieskończenie piękniejszą od tego co przewiduje.

Byliśmy wszyscy na pokładzie, bo widać już było okolice miasta Bastia. Natura zmieniła swoją szatę, ciemny liść drzew oliwnych łączył się z błękitem morza. Co za różnica od nagich skał przylądka! Obok lasów oliwnych widać pięknie utrzymywane ogrody. Nie mniemałem ażeby Bastia przedstawiła tak malowniczy widok. Wystawcie sobie górę, któréj przerznięte boki wznoszą się w amfiteatrze, stoją na nich warownie, klasztory, domy wiejskie, jest to postać wojenna, złagodzona połączeniem winnic, drzew pomarańczowych, cytrynowych.

Wnijście do portu nie jest łatwe, skała ścieśnia je i podczas mocnego wiatru przystęp czyni niebezpiecznym.

Okręt nasz powitało mnóstwo ciekawych stojących na brzegu, hrabia T. wiedząc, że jenerał zapewne wysiądzie, zaprosił nas wszystkieg razem z paniami do miasta. Lubo między nami wielu było oficerów wyższych, między nimi jenerał Corte, to jednak naszemu jenerałowi jako najstarszemu wiekiem, wszyscy przy wsiadaniu i wysiadaniu z łodzi robiliśmy honory. Wymówione zaraz w porcie parę nazwisk znanych z otoczenia Garibaldego były przyczyną, że towarzystwo nasze coraz bardziéj od mieszkańców miasta było oblegane. Sądzili, że jenerał któremuśmy robili honory, jest Garibaldym; zresztą hrabia T. ażeby nowy żart zrobić, powiedział pocichu paru krajowcom: „ecco e il generale Garibaldi“. Widać że wieść ta rozeszła się po mieście; zaledwo usiedliśmy przed kawiarnią, kiedy pełno postrojonych dam przechodziło koło nas z ukłonami. Wmówiliśmy w jenerała, że jest do Garibaldego podobny, a choć zrazu niechciał wierzyć, mówiąc że nie nosi brody, przecież kiedy przy wsiadaniu z powrotem do łodzi otrzymał od paru kobiet, do tego jeszcze pięknych, kwiaty, kiedy te stojąc na brzegu powiewały długo chustkami, póki parowiec portu nie opuścił, uradowany uwierzył. Był już zupełnie szczęśliwym, między tylu mężczyznami daleko młodszymi od siebie odniósł zwycięztwo, bo zyskał zupełne względy Judyty, która gdy ją hrabia T. poprosił, żeby koniecznie dostała ten pierścień, o którym tak głośno mówił, że go za nic w świecie nie odda, a on go od niéj nabędzie za cenę, jaką sama naznaczy, już nie szczędziła swych względów, a temi zaskarbiła sobie łaskę jenerała; rozmawiali ciągle o muzyce, o śpiewie, w końcu bawiła się widokiem zazdrości, którą umyślnie w nim wzbudzała.

Od ostatniego północnego cyplu Korsyki, która zdaleka zdaje się składać z Sardynią jedną tylko wyspę, żaglowaliśmy wzdłuż pasma wysokich gór, których brzegi przerznięte licznemi zatokami widać było ubarwione purpurą zachodzącego słońca: potém wszystko nikło w mgle wieczornéj i oddaleniu; panującą na pokładzie ciszę przerwał śpiew Judyty. Ucieszyliśmy się tém niezmiernie, myśląc że dłużéj potrwa, był to początek aryi z *Trovatore*, którą jenerał, jak sam mówił, bardzo lubił. Śpiew zaraz ustał i daremnemi były prośby nasze, śpiewać więcéj pani nie chciała, mówiąc, że mgła by ją nabawiła chrypki, spacerowała tylko po pokładzie a za nią jenerał, który ciągle o śpiew dalszy błagał.

Śpiew rozpoczęty przez Judytę, znalazł naśladowców, kilku mężczyzn poczęło śpiewać i wywiązał się wieczór nader przyjemny. Do śpiewaków przyłączyły się towarzyszki Judyty. Jenerał kazał przynieść wina, humory poczęły być weselsze, w końcu rozochocony jenerał chcąc odegrać rolę młodego chłopca, przy śpiewie razem z Władysławem R. tańczył na pokładzie mazura, by taniec ten pokazać Włochom. Trzeba przyznać, że mimo lat swych i życia obozowego, żwawo się jeszcze uwijał. Pani Judyta bawiła się dobrze, była coraz lepiéj z jenerałem, jednak więcéj już śpiewać nie chciała. Przy przedłużającéj się w noc zabawie nikt nie myślał o spaniu, podano nam *punsch à la romain*, a rozweseleni coraz bardziéj korzystaliśmy z znajdujących się na statku dwóch muzykantów podróżnych i w jak najlepsze rozpoczęli tańczyć. Wśród téj zabawy zobaczyłem, że Judyta chodzi z hrabią T. i coś się bardzo śmieją, po chwili dowiedziałem się, że ów pierścionek, owa pamiątka pierwszéj miłości jenerała przeszła już do Judyty a od niéj do hrabiego. Wkrótce potém usłyszeliśmy śpiew Judyty; głos silny i jeszcze czysty; dopiero późno w noc udaliśmy się na spoczynek.

## II.

*Przybycie na wyspę Stéj Magdaleny. — Charakterystyka miejscowości i ludzi. — Niektóre zwyczaje téj wyspy. — Kumostwo Śto-Jańskie. — Panidura. — Se porta de su robba. — Pogrzeby. — Piękna Marieta.*

Wstawszy dość późno, wyszedłem na pokład, gdzie dopiero dwóch zastałem towarzyszów, byliśmy niedaleko wyspy Ś. Magdaleny, tam w porcie okręt staje pół godziny, a jadący na Kaprerę. wysiadają. Widać już

było nagie góry skaliste, pojedyncze grupy skał wystawały z morza, o które fale się rozbijały. Na niektórych skalach wyciosane pomniki z napisem dnia i roku rozbicia okrętów. Takich pomników wiele można było liczyć, bo burze są tu częste, a przepłynięcie wtenczas tych miejsc bardzo niebezpieczne.

Widzieliśmy pasmo gór Sardynii: po prawéj naszéj stronie wysepka ś. Szczepana najpierwsza przedstawia się oczom naszym, na niéj stare opuszczone zamczysko, po lewéj wystająca część wyspy ś. Magdaleny, także z starém zamczyskiem; takież same dwa jeszcze widać w głębi wyspy. Pizańczykowie za czasów swego panowania wznieśli tu te forty.

Natura poczęła przed nami rozwijać przepych klimatu, łączącego własności Europy i Afryki. Podróżny nawykły do zwyczajów miast naszych, już niewidząc śladów europejskiéj cywilizacyi, mniemałby, że się dostał na koniec świata. Ażeby mieć wyobrażenie o tych wyspach, dosyć jest wystawić sobie mnóstwo gór urwistych i dzikich, a pomiędzy niemi zostawić obszary wody. Jednakże z posunięciem się dalszém okrętu w głąb zatoki, z zbliżeniem do portu — widok się urozmaica, widać małe miasteczko zbudowane na pochyłości wzgórza; czerwonawe skały łącząc się jedne z drugiemi, powiększają wrażenie tego widoku. A te tak na pozór gołe i dzikie skały, z blizka inny przedstawiają widok, pod wypogodzonem zawsze niebem, wśród ogrodów zawsze kwiatem i owocem pokrytych, stają się uroczém siedliskiem gdzie powietrze najczystsze przedłuża życie człowieka za kres zwyczajny. Zielone kawałki pola rozciągają się wzdłuż brzegu i tworzą ciche miłe odnogi zieloności obok kołyszącego się błękitu fali.

Po czułych pożegnaniach, po życzeniach tym paniom szczęśliwéj podróży i powodzenia, podziękowaliśmy za tę tak miłe, choć krótko spędzone chwile, wsiedliśmy w łodzie, a wysiadłszy na ląd, znaleźliśmy znów wrzawę i ruch nadmorskiego miasteczka. Menotti Garibaldi oczekiwał nas z kilku swemi kolegami. Jenerał i hrabia T. chcieli zamieszkać na wyspie Magdaleny i robić dziennie wycieczki do Kaprery, ja wolałbym był zamieszkać w Kaprerze, jednak dla towarzystwa, zostałem razem z nim, zamierzając więcéj czasu spędzać na Kaprerze. Zanim Menotti wyszukał dogodne dla nas pomieszkania, rozpatrywaliśmy się po wyspie, w czém nam dopomagał major Bedeschini, bawiący ciągle na Kaprerze i znający tak miejscowość jak wszelkie zwyczaje i obyczaje wyspiarzy.

Ktoby przybył na wyspę Magdaleny w celu zobaczenia tego, co tak obficie znalazł we Włoszech, tojest miast i pomników, odpłynąłby zaraz z odchodzącym parowcem. Lecz tu przybywają jedynie ludzie albo w interesie jakim handlowym, lub ci, którzy jadą na Kaprerę, by poznać lub odwiedzić rzadkiego w świecie człowieka i miejsce jego pobytu. Zawsze jednak warto poznać lud tutejszy, o którym nigdzie nie pisano, wybadać opóźnioną cywilizacyę i zastanowić się nad obyczajami, których oprócz w Sardynii, nigdzie indziéj nie znajdzie.

Wyspa Magdaleny niema odrębnéj cechy, jako miasteczko mało się różni od innych włoskich, położenie w kształcie amfiteatru, czyni go wesołém i dość przyjemném. Port mały ale bezpieczny. Nad samym brzegiem stoi obszerny murowany dom na piętro, starego jakiegoś admirała; kościół jeden, na końcu wyspy od strony Kaprery stoi nieduży pałacyk jednéj Angielki, która ma grunta na Kaprerze, pałacyk ten otoczony jest ogrodem z pięknemi drzewy owocowemi, a pod samym domem stoją dwie piękne palmy.

Ludność nie donosi tysiąca dusz, handel tu jest znaczny winem, owocami i oliwą, która jest najważniejszym produktem; prócz tego prawie wszyscy trudnią się rybołowstwem. Klima jest umiarkowaném, wiatry morskie ochładzają powietrze. Postęp pór roku dosyć regularny, w lecie nie często padają deszcze i grady. Zwierzyny do polowania prawie żadnéj, bo wyspa obfituje tylko w dzikie koty. Rośliny po większéj części takie same jak we Włoszech, obfitość wielka kaktusów czyli fig indyjskich.

Wyspiarze mają czynny umysł, lubią poezyą, spory i rozprawy; mężczyzni są w ogólności dobrego wzrostu, korpusy ich atletyczno proporcyonalne, cera ogorzała, włosy czarne, fizyonomia dowcipna, żywe ruchy i gesta. Kobiety odznaczają się szczególniéj wielkiemi czarnemi oczyma i piękną kibicią. Są one roślejsze i więcéj imponujące jak kobiety na stałym lądzie we Włoszech. Twarz u nich klasycznéj regularności wyraża pojętność, oko bystrość. Słusznie też są one uważane za najpiękniejsze z całych Włoch. Są gościnni z natury, polowanie na które płyną łodziami do Sardynii, rybołostwo, tańce, biesiady są główną po pracy ich rozrywką, lubią zbytek w ubiorze; pobożność ich chociaż przesadna, jest szczera i pochodzi z głębi duszy. Zawiązanie stosunków miłosnych jest na pozór łatwém, kobiety tam zupełnie ufają mężczyznie, niedopuszczają możebności zdrady, bo ta zwykle kończy się śmiercią uwodziciela lub uwiedzionéj. W zemście przechodzą Korsykanów. Zwyczaje i obyczaje mieszkańców zachowały się bez zmiany. Pomiędzy najciekawszemi zwyczajami dwa zasługują na uwagę, jeden zwany kumostwem Śto-Jańskiém, a drugi Panidurą.

Dwie osoby zamężne różnéj płci wyszukują się wzajem na kuma i kumę Śto-Jańską, umowa zawiera się na dwa miesiące wprzódy; przy końcu maja, przyszła kuma bierze wielki kawał kory, zwija ją w kształcie naczynia, napełnia ziemią i zasiewa garścią pszenicy najpiękniejszego gatunku Ziemię skrapia najtroskliwiéj, pszenica rośnie więc bardzo szybko, tak, iż po dwudziestu dniach jest już piękna kępa, którą zowią wów-

czas *nenueni.* —„ W dzień Ś. Jana kum i kuma biorą to naczynie, a w towarzystwie licznego orszaku idą do kościoła. Skoro tam przyjdą, jedno z nich rzuca naczynie o drzwi, a potém wszyscy jedzą jajecznicę ze szczypiorkiem. Po takim posiłku całe towarzystwo biorąc się za ręce, śpiewa kilkakrotnie: kum i kuma Ś. Jana. Tańcują kilka godzin i kończy się uroczystość.

(Ciąg dal. n.)

## LIST DO REDAKCYI.

**Myślenice** 20 września.

Wezwaliście mnie łaskawie do współpracownictwa — Bóg wam zapłać. Wzniosły i piękny jet cel waszego pisma! I słusznie macie prawo żądać od nas starych, abyśmy choć zdala wskazywały ścieżki pochodu ludzkości niewieściéj; — przestrzegały gdzie się znajdują kolce i ciernia, gdzie strome pagórki, a gdzie i przepaść. My już prawie kończymy tę drogę, na którą młode dopiero wstępują. I cóż im mówić o téj drodze w pielgrzymce, nazwanéj życiem. — Prawdę? Nie — pióro mi zadrżało — żal mi młodych, straciłyby chęć pielgrzymki na samym progu życia, a one je widzą w tysiące kwiecia i rozkoszy przybrane: jeszcze raz mówię, żal mi ich — zamilczę przeto, — i będę im jeno rozpowiadać, w co przybrać się mają, w tę pielgrzymkę — w jakie szaty oblec, aby wygodniéj stąpać i nie zachaczać o kolce i głogi, aby nie upadać przy strasznych górach, omijać przepaście. Taki więc będzie program mego współpracownictwa, jeżeli go przyjmiecie — zgoda. Obwinę radę w słodką powlokę, wystawię: że jest, że było dużo złego na świecie, ale że jeszcze więcéj jest dobra i piękna w przyszłości — w którą młode wstępują.

Cel nasz przeto będzie: oświecać i zachęcać naprzód, a postępować samym. Oby Bóg poszczęścił waszéj pracy i zamysłom!!! *L. Leśniowska.*

## Wyprawa do fotografa.

(RAMOTKA.)

Podczas włóczęgi mojéj po Galicyi trafiłem raz na rzecz arcyciekawą i rzadką — znalazłem dworek szlachecki, w którym nie było ani fortepianu, ani albumu z fotografiami. Zamiast pierwszego, wisiała nad kanapą stara gitara na niebieskiéj wstążce, przy któréj mama dobrodziejka jeszcze nuciła „o uśpionych psach“ — a teraz córki kaleczyły paluszki swoje; — stary portret, na którym ręka czasu i pokojówki starła ślady oczów i nosa aż do szarego płótna, zastępował miejsce fotografij.

W całym domu znajdowała się tylko jedna fotografija pani Baronowéj, sąsiadki dobrodziejki.

— Gdzież macie tę fotografiją? — spytał papa córek — pokażcież panu. Pan nie zna pani Baronowéj?—

— Nie.

— Nie zna pan? No proszę, ta to ona nieraz tam u was bywa w Krakowie. Kobieta mociumpanie jak gmach i nieszpetna. No gdzież macie u diaska tę fotografią? —

Rozpoczęło się poszukiwanie po stoliku, książkach do nabożeństwa, kalendarzach, aż nareszcie znaleziono panią baronową między talją starych kart. Synek gospodarza wsunął ją tam zamiast damy pikowéj, zrobiwszy z głowy atramentem znak pikowy. Ten koncept małego pozbawił mnie przyjemności oglądania twarzy nieszpetnego gmachu baronowéj.

— To tego szelmy Hipka sprawka. Hipcio, Hipcio — zawołał ojciec przez okno.

Hipcio odezwał się na któréjś śliwie w ogrodzie.

— Pójdźno tu hultajie.

Hipcio nie szukał drzwi — wpadł przez okno mając na sobie najniezbędniejsze tylko części ubrania.

Papa nasrożył się.

— Co to? — spytał, pokazując zbezczeszczoną fotografię.

— To dama winna!

— Tyś winnien ośle jeden. Poczekajno, sprawię ja się z tobą.

Nie ciekawy egzekucyi, obróciłem się do Tynci:

— A panie się nigdy nie fotografowały?

Panienka w pons, jakby się ze śmiertelnego grzechu spowiadać miała.

— My się dopiero będziemy fotografować.

— Nawet musicie — odezwał się papa — bo pani baronowa koniecznie się dopomina o wasze fotografije — a to wypada oddać. Prawda panie? —

— Rozumie się.

— Ano widzicie — ale bo to panie przy gospodarstwie, to człowiekowi i trudno zebrać się na to. Był tu raz mociumdzieju fotograf w miasteczku — ale cóż, kiedy moje panny ani rusz się fotografować bez niebieskich sukien. Zanim się krawca sprowadziło, zanim się materyi kupiło — nie trzeba panu dobrodziejowi mówić — zanim się trzy sukienki poszyły — fotograf — tu pan Telesfor dmuchnął po dłoni — co miało znaczyć zniknięcie fotografa.

Szczęście czy nieszczęście chciało, że w kilka dni po téj rozmowie pan Telesfor dowiedział się od żydka wracającego z jarmarku, że w miasteczku jest znowu jakiś fotograf — postanowiono niezwłocznie na drugi dzień wyprawę, do któréj i ja byłem zaproszony.

Kiedy przyszło do pakowania, pokazało się, że bry-

czka była niewystarczającą, bo pominąwszy pudła, pudełka pełne sukien, tiulików i innych toaletowych drobiazgów, każda z panienek chciała zabrać ze sobą jakiś przedmiot upodobany, z którym się fotografować umyśliła. Tyńcia chciała koniecznie z barankiem, Mincia z psem, a Bincia z krosnami. Dodawszy do tych drobiazgów trzy panny, mnie i tatkę, który wcale nie był drobiazgiem i Hipcia, który się koniecznie napierał jechać, pokazała się niemożebność wyruszenia jedną bryczką, a tatko więcéj koni dać nie chciał, by na tém gospodarstwo nie cierpiało. Były rady i narady, zgodzono się w końcu na to, że Magdusia z psem i barankiem wybiorą się przodem na piechotę, krosna umieszczono na koźle jako przegrodę między chłopską sukmaną furmana a szlachecką tuszą pana Telesfora, mnie wpakowano między panny i pudełka, Hipcia na kolana Tyńci i „w Imię Ojca, Syna i Ducha", ruszyliśmy do miasteczka.

Zakład fotograficzny był na podwórku zajezdnego domu prowizorycznie umieszczony, fotograf stał przed sienią paląc cygaro, oczekiwał gości. Dzieci z całego miasteczka zaglądały ciekawie przez parkan na aparat fotograficzny.

— Czy pan fotograf? — spytał pan Telesfor, spuściwszy się z trudem z kozła.

— Do usług.

— Jestem Telesfor Mateusz Ogórkowski.

Fotograf się skłonił.

— My panie dobrodzieju chcielibyśmy się fotografować — zaintonował szlachcic uroczystym głosem.

Nowy ukłon fotografa.

— Ale panie łaskawy, wieleby to kosztowało od sztuki?

— Tu pokazał ręką na sztuki wyskakujące z bryczki.

— To zależy od formatu.

— Jakto od formatu? — zwyczajnie jak fotografia.

— Są większe i mniejsze fotografije.

— No tak pan dobrodziéj uważ, żeby była prawie do albumu pani baronowéj.

— W biletowéj formie — dodałem wyprowadzając fotografa z kłopotu, który jak żył nie widział baronowéj i jéj albumu.

— W biletowéj — to po dwa reńskie od osoby.

— Szajne? —

— Nie, srebra.

Pan Telesfor otworzył oczy.

— Ależ zmiluj się dobrodzieju to niesłychanie drogo. Toby łaskawco wyniosło dwa, cztéry, sześć, ośm, dziesięć reńskich rachując z Hipciem — to prawie dwa korce zboża. To niesłychanie drogo. Nie pamiętasz ty Tyńciu wiele to baronowa dała za swoją fotografię?

— Ośm reńskich za sześć sztuk.

— Ano, widzi pan — a kobieta jak gmach powiadam panu, a tu pan masz drobiazg sam.

— To wszystko jedno.

— No, od czegoż nie będzie?

— To stała cena — odparł fotograf. — Ale możeby państwo razem się fotografowali, to taniéj wyniesie.

Spodobała się ta uwaga kieszeni pana Telesfora.

— Richtig, to byłoby lepiéj. Jakże dzieci, chcecie z ojcem razem?

Panienki się krzywiły — one sobie wymarzyły, że się fotografować będą osobno.

— Ta to przecież ładniéj że z ojcem razem będziecie. Tak, tak panie fotograf — to nas pan zrób razem.

— W większym formacie — ?

— No do albumu baronowéj.

Fotograf ruszył ramionami i poprosił nas do pracowni, czyli właściwiéj mówiąc, na podwórze.

(Ciąg dal. nast.)

---

**Dla domowego użytku.** — *Wyciąg mięsny Dr. Liebiga.* Pekelfleisz nie zastąpi nigdy świeżego mięsa, bo przez nasolenie ubywa znaczna ilość części pożywnych. Suszone mięso psuje się po większéj części; buliony dotychczasowe są drogie, sprzykrzą się, a mając w sobie wiele kleju, są trudne do strawienia. Tym niedostatkom zaradza nowy wyrób „wyciąg mięsny", podług sposobów Dr. Liebiga; jest pożywny, strawny, bardzo podajny, nie zawiera tłuszczu przez co nie gorzknieje; ani kleju, przez co nie pleśnieje; jest zdrowym dla chorych, a nie sprzykrzy się zdrowym. Odbyt tego wyrobu zaczyna się i u nas rozpowszechniać.

---

**Wiadomości bieżące.** — W zakładzie wychowawczym u ś. Jana w Krakowie przywrócony został wykład literatury polskiéj, itd. — o co i na ostatnim sejmie sprawa się toczyła. Bodaj ten wypadek był zapowiedzią innych zmian i ulepszeń w zakresie wychowania, których tak co do rzeczy jak i osób, napróżno dotąd oczekujemy.

— Dowiadujemy się, że z rozporządzenia duchownéj władzy obostrzoną została klauzura w tutejszych klasztorach żeńskich. Nie wiemy przyczyny (?), słyszymy tylko o niedogodnościach ztąd wynikających, zwlaszcza w zakładach, które nie są klasztorami, jak np. u ś. Jana, a gdzie zarząd codziennie ze stronami różne sprawy ma do załatwiania, zakaz wpuszczania świeckich w mury zakładu i ograniczenie ich do mownicy, jest dla obu stron zbyt uciążliwym i wywołuje ciągłą przerwę w pracach. Należy się spodziewać, że ten niestósowny przepis cofniętym zostanie.

☞ Ukończony gimnazjalista C... zdawszy celująco egzamin dojrzałości w Krakowie, znajduje się obecnie w tak opłakanym stanie, bez sposobu do życia. bez lekcyj, że z nędzy dostał już początków obłąkania. Jestto ilustracja do stosunków naszych — wypadków takich było już kilka u nas w ostatnich latach. Bliższe szczegóły o tym nieszczęśliwym można powziąść w biurze redakcyi „Kaliny", jak również ofiarujemy chętnie pośrednictwo nasze w przesłaniu jakiéjkolwiek pomocy dla niego.

---



Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.